

SŁOŃCE
UMIERA
I TAŃCZY

EWA CIELESZ

**SŁOŃCE
UMIERA
I TAŃCZY**



Copyright © 2017 by Ewa Cieleśz
Copyright for this edition © 2024 by Axis Mundi

REDAKCJA: Katarzyna Sosnowska
KOREKTA: Monika Turała
KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Borys Borowski
SKŁAD: Positive Studio

WYDANIE II

ISBN OPRAWA BR: 978-83-8383-054-4
EAN OPRAWA BR: 9788383830544
ISBN E-BOOK: 978-83-8383-055-1

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.



CZĘŚĆ 1

**SŁOŃCE
UMIERA
I TAŃCZY**

DYMITR

Krzesło było twarde jak głos kobiety siedzącej naprzeciwko.

– Przykro mi. Pani sytuacja jest nietypowa. Nie jesteśmy w stanie pani pomóc. Minęło sporo czasu.

– Szybko. Za szybko. Jakby to było wczoraj – powiedziałam cicho.

Kobieta milczała wymownie.

Kiedy wstałam z miejsca, pociemniało mi w oczach. Zachwiałam się i przytrzymałam biurka.

– Dobrze się pani czuje? – zapytała i po raz pierwszy dostrzegłam w jej oczach coś w rodzaju współczucia.

– Nic mi nie jest – odparłam. – Proszę, niech ktoś to jeszcze sprawdzi – dodałam. – Do widzenia.

Szłam wąską uliczką, po której obydwu stronach wyrastały mury czynszowych kamienic. Nisko osadzone małe okna uwodziły bielą firanek, przez które prześwitywały rozkwitłe pelargonie chroniące wnętrza przed ciekawskim wzrokiem przechodniów. Potykałam się o kocie łby, pamiętające jeszcze lata dwudzieste. Tylko ten fragment miasta zachował dawny klimat, emanował spokojem. Samotne wdowy wynajmowały tu tanio pokoje, by załatać dziury w domowym budżecie. Z uwagą czytałam przybite do murów tabliczki z numerami.

Ostatnim razem się zgubiłam. Mieszkałam tu zaledwie kilka dni i wszystkie domy nadal wydawały mi się jednakowe. Weszłam na ciemną, pachnącą wilgocią klatkę schodową. Wspięłam się

na drugie piętro, trzymając się wyślizganej tysiącem rąk poręczy. Wyjęłam z torebki duży klucz i włożyłam go do zamka. Od wewnątrz drzwi blokowała zasuwka, co świadczyło o tym, że gospodyni jest w domu.

– Już otwieram – usłyszałam przez zamknięte drzwi. Coś zgrzytnęło. – Wróciła pani... – Właścicielka mieszkania westchnęła i odsunęła się, bym mogła wejść do długiego, zagraconego przedpokoju. – Wywietrzyłam tam u pani, zaduch był – dodała takim tonem, jakby informowała mnie, że doliczy do czynszu za dodatkową usługę.

– Wolałabym, żeby nikt nie wchodził do mojego pokoju – burknęłam, unikając jej wzroku.

– Jak pani chce – mruknęła. – Przecież i tak pani tam nic nie ma – dodała z ironią.

Zbyłam tę złośliwą uwagę milczeniem, minęłam gospodynię i zamknęłam się w swoim pokoju.

Stłoczona w małym pomieszczeniu zbieranina niepasujących do siebie gratów działała destrukcyjnie, otębiała. Skuliłam się na łóżku, które w odpowiedzi jęknęło garbatymi sprężynami. Ostrożnie naciągnęłam na plecy kraciasty pled i zamknęłam oczy. Chciałam odgrodzić się od wszystkiego, co doprowadziło mnie w to miejsce. Ale wspomnienia były silniejsze i zawsze wracały, gdy okazywałam słabość.

W przedpokoju poniewierały się eleganckie czerwone pantofle mamy. Gdy otwierałam drzwi, przesunęłam je i zostawiłam rzucone obok pedantycznie ustawionych czarnych butów ojca. Uśmiechnęłam się mimowolnie. Ten kontrast w położeniu obuwi znakomicie obrazował ich charakter. Ojciec był zdyscyplinowany, skrupulatny, obowiązkowy, a matka roztargniona, porywczą i działająca zawsze pod wpływem emocji. Stanowiłam swoistą kombinację tych cech, przez co wyrosłam na pełną sprzeczności osobę. Wyjęłam z kieszeni zapinkę do włosów i, nie patrząc w ogóle w lustro, spięłam niedbale jasny węzełek nad karkiem. Mama, zwolenniczka krótkiej fryzury, nie lubiła, gdy wokół mojej głowy zwisały, jak to określała, długie strąki. Ale poza tym nie wtrącała się do mojego wyglądu, zostawiała mi zupełną swobodę w donaszaniu starych, rozwleczonych swetrów, czarnych długich kiecek i płaskich butów. Sama zaś była perfekcjonistką w doborze strojów. Preferowała ciepłe barwy, szczególnie czerwień. Kolor ten zresztą znakomicie określał jej charakter. Można by powiedzieć, że jej głowa płonęła od pomysłów. Matka tryskała młodzieńczą energią. Wprawdzie kąciki jej ust ostatnio nieco opadły, a we włosach pojawiły się srebrzyste akcenty, jednak zachowała nienaganną sylwetkę. Ojciec niemal nosił ją na rękach. Nie miał wprawdzie ku temu zbyt wielu okazji, ponieważ zazwyczaj przebywał w podróży. Ten poważny, niezwykle spokojny naukowiec-przyrodnik jeździł po świecie, gdzie prowadził badania geologiczne i zbierał

przyrodnicze okazy dla instytucji w całej Europie. Ostatnio gromadził materiały do kolejnej naukowej książki. Mama zajmowała się architekturą i dekoracją wnętrz, prowadzona przez nią firma odnosiła sukcesy. Wolne chwile, których nie miała zbyt wiele, poświęcała natomiast na tworzenie pięknej biżuterii z minerałów, co stanowiło jej hobby. Odkąd pamiętam, rodzice mieli nieodpartą potrzebę poznawania nowych miast, dlatego nigdzie nie zagraliśmy miejsca. W Krakowie zatrzymaliśmy się na dłużej tylko dlatego, że stara i mocno schorowana matka mojego ojca wymagała opieki. Zajmowała niewielkie mieszkanie w zabytkowej kamienicy niedaleko Rynku. Z jego okien można było obserwować mieszkańców dokarmiających szare stadko gołębi w studni podwórka. Lubiłam te jej staroświeckie pokoiki, pełne pamiątek i bibelotów pamiętających jeszcze czasy międzywojnia. Babcia pożegnała się z tym światem niespełna rok temu i ojciec zaczął już przebąkiwać o sprzedaży naszego domu i wyjeździe na Wybrzeże. Mój sposób na życie również daleki był od mieszczańskiej stabilizacji. Ukończyłam Wydział Malarstwa na Akademii Sztuk Pięknych i utrzymywałam się z różnego rodzaju zleceń. Właśnie kopiowałam obrazy Edwarda Muncha na potrzeby jakiegoś klubu. W Krakowie miałam sporo pracy i kontaktów, dlatego kręciłam nosem na kolejną przeprowadzkę. Oczywiście mogłam zostać w przekazanym mi mieszkaniu po babci, to jednak wymagało porządnego remontu. Lubiłam zresztą nasz dom. Kupiony kilka lat temu, oddalony nieco od centrum miasta, znacznie różnił się od pozostałych budynków tej dzielnicy. Nie fascynował wprawdzie bryłą, która przypominała ułamaną podkowę, ale nosił w sobie wojenne piętno i pachniał tajemnicą. Nie był duży. Na dole niewielki salon, kuchnia, łazienka, dwie sypialnie. Po obydwu stronach, jakby w skrzydłach domu, znajdowały się gabinety: po prawej stronie ojca, po lewej matki. Na górze zaś przestronny strych, który zaanektowałam na pracownię. Miał tę zaletę, że

większą część wszystkich czterech ścian stanowiły niespotykane długie, pionowe okna.

Odstawiłam do kąta za szafą wielką rysunkową teczkę i zaszłam do salonu. Rodzice prowadzili ożywioną rozmowę. Na mój widok zamilkli, jak na komendę. Ojciec spojrział spłoszony, mama zaś uśmiechem starała się zamaskować zakłopotanie.

– Już po pracy? – zapytała, zakładając za ucho kosmyk włosów.

– Tak, skończyłam dzisiaj drugi obraz. Udało się wcześniej.

A wy...

– Chodź, odgrzeję ci obiad. Myśmy już jedli. – Wstała, nie dając mi dokończyć zdania.

– Nie trzeba, jadłam na mieście. Nad czym tak...

– I jak ten obraz? Udał się? – uśmiechnął się życzliwie ojciec. Dzielnie sekundował matce. Wyraźnie chcieli coś przede mną ukryć.

– Udał się. Jasne, że się udał. Zresztą Konrad mi trochę pomagał. Możecie mi powiedzieć...

– Ten Konrad chyba jest tobą zainteresowany, co? Coraz częściej o nim mówisz. Mogłabyś go kiedyś przyprowadzić, chętnie byśmy go poznali, prawda, Jasiu? – zwróciła się do ojca.

– To tylko kolega z pracy. Zresztą ma żonę. Daj spokój, mamo. Zachowujesz się, jakbyś na siłę chciała mi wcisnąć kogoś w ramiona i przywiązać węzłem małżeńskim.

– Byłabym spokojniejsza... – przerwała nagle, zakrywając dłonią usta. Ojciec spojrział na nią karcąco.

– Śmiało, mamo. Skończ, skoro już zaczęłaś – roześmiałam się nieszczerze. Zakiełkowało we mnie ziarenko niepokoju.

– Masz rację, nie ma co tego ukrywać – skwitował ojciec. – W końcu jesteś dorosła i masz prawo o sobie decydować. Otóż...

– To może ja powiem – przerwała mu mama. – Ja to zrobię bardziej... No, z większą finezją, czy jakoś tak...

– No, mówcie wreszcie! – zniecierpliwiłam się.

– Bo wiesz, Jagódko, ojciec... – zaczęła i spojrzała bezradnie na męża, który podniósł do góry brwi i rozłożył ręce, dając jej do zrozumienia, że przed chwilą właśnie odebrała mu prawo głosu. – Ojciec w połowie października musi wyjechać.

– To żadna nowość. – Wzruszyłam ramionami.

– Tyle że tym razem na dłużej. Na dwa lata.

– Dwa lata? – zdziwiłam się.

– No właśnie, dlatego postanowiłam, że ja pojedę z nim. Gdybyś chciała...

– Powodzenia. Ja się stąd nie ruszam – powiedziałam stanowczo. – Najwyżej czasem do was wpadnę. – Popatrzyłam na ojca, który zrobił niewyraźną minę.

– To nie takie proste. Jadę do Gujany Francuskiej. To dość daleko.

– Gujana Francuska? To gdzieś we Francji? – zapytałam ostrożnie. Lekcje geografii nie za bardzo zapadły mi w pamięć.

– W północno-wschodniej części Ameryki Południowej – wyjaśnił z charakterystyczną dla siebie skrupulatnością.

– Nad Oceanem Atlantyckim – dodała rozmarzona mama, przykrywając powieki, pod którymi zapewne widziała już siebie na piaszczystej plaży.

– A twoja praca, mamó? – przywróciłam ją do rzeczywistości. – Co z twoją firmą?

– Firma poczeka. Zawieszę działalność na ten czas. Wreszcie będę mogła zająć się biżuterią – powiedziała, a jej twarz rozjaśnił radosny uśmiech. Podbiegła do komody i otworzyła szufladę. – Spójrz, co na mnie czeka!

Nie musiałam patrzeć. Doskonale znałam każdy kamyczek, który tam spoczywał. Mama z upodobaniem demonstrowała swoje skarby każdemu, kto okazał choćby cień zainteresowania.

– Gdybyś chciała... – zaczęła znowu, zerkając na ojca, jakby oczekiwała od niego wsparcia.

– Nie chcę jechać, powiedziałam już – wpadłam jej w słowo.

– Nie to miałam na myśli – zmieszała się. – Prawdę mówiąc, chcieliśmy pojechać sami, wiesz... Czasem warto odświeżyć uczucie, prawda? Gdybyś jednak chciała przenieść się do ciotki Weroni na ten czas...

– Do tej nudziary? Mamó, nie jestem małą dziewczynką. Czy ty nie przesadzasz? Zobaczysz, świetnie sobie poradzę.

– Dajmy temu spokój – powiedział ugodowo ojciec. – Do wyjazdu mamy jeszcze cztery i pół miesiąca. Przez ten czas Jagoda się zastanowi, prawda?

– Nie mam zamiaru się zastanawiać. Nigdzie nie jadę i już. Dwa lata miną jak z bicia trzasnął. Nawet się nie obejrzymy, kiedy będziecie z powrotem.

– Jak chcesz – powiedziała mama.

W jej głosie brzmiało rozczarowanie. Byłaby spokojniejsza, pakując mnie pod klosz którejś z ciotek. Wciąż chciała traktować mnie jak małe dziecko. Widocznie nie zauważyła, kiedy dorosłam. Na szczęście nie naciskała, a nawet odniosłam wrażenie, że zgodziła się na tę moją samodzielność nad wyraz szybko. Sprawiała wrażenie roztargnionej i pomyślałam, że bardzo już pragnie tego sam na sam z ojcem.

– Ale w takim razie trzeba będzie wyremontować mieszkanie po babci. Wolę, żebyś mieszkała wśród ludzi. Tam przynajmniej będziesz miała sąsiadów.

– Mam w nosie sąsiadów. Tutaj mam pracownię.

– Nie martw się. Zaprojektuję ci miejsce do pracy. Czekaj... – zapaliła się mama i już złapała leżącą na stole kartkę papieru, rozglądając się za ołówkiem.

– Małgosiu, nie teraz – zaprotestował ojciec. – Napijmy się spokojnie kawy. Mamy jeszcze czas.

Czas jednak płynął szybko. Mama zabrała się za projekt mojego przyszłego gniazdka. Nie byłam zachwycona perspektywą

opuszczenia domu, ale w końcu postanowiłam tu zaglądać choćby po to, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, podlać ukochane rośliny ojca, a zimą przepalić w kominku. Zresztą w ciągu dnia będę też mogła korzystać z pracowni.

– Jagoda, co myślisz o wyburzeniu tej ściany? To działowa ścianka, można ją zlikwidować. Spójrz, przeniesiemy ją o metr w głąb kuchni. Po co ci taka wielka kuchnia? – pytała mama znad deski kreślarskiej, a ja rzuciałam wszystko i biegłam do niej, żeby jej ostatecznie przytakiwać.

Myślę, że babcia nie raz przewróciła się w grobie, gdy do mieszkania wkroczyła ekipa remontowa. Efekt jednak był niesamowity. Długi dotąd przedpokój stracił pół metra na rzecz salonu, to samo stało się z kuchnią. Część salonu natomiast odgrodzono ceglany murkiem od strony okien. Tutaj uzyskałam coś w rodzaju atelier. Murek nie sięgał do samego sufitu, dzięki temu światło, wpadające przez duże okna, docierało do salonu. Tam wprawdzie panował lekki półmrok, ale nadawał temu pomieszczeniu wyjątkowy klimat. Biurko musiało zostać wstawione do sypialni, ale mimo to uważałam ją za najprzytulniejsze miejsce na świecie. Pogrążony w przyjemnym świetle padającym z okna osłoniętego kotarą w kolorze brzoskwini pokój, w którym miałam spać, zapraszał miękkością i ciepłem. W połowie września meble stały już na swoich miejscach, a w oknach zawiśły rolety. W kącie nowego salonu stanęło ulubione cytrynowe drzewko ojca, które wyhodował samodzielnie od pestki, a teraz mi podarował. Pod koniec września upiekłam w nowej kuchni koślawy tort i zaprosiłam rodziców na pierwszą kawę.

– Jaka ty jesteś dorosła! – zawołał ojciec, przygarniając mnie do siebie. Pachniał lawendowym mydłem, które kojarzyłam z nim od dzieciństwa.

– I pomyśleć, że wystarczyło ją nieco usamodzielnic, by zaczęła zachowywać się jak kobieta – śmiała się mama, rozglądając się

jednocześnie po wnętrzu, które było jej dziełem. W oczach miała tyle samo dumy co zadowolenia. Ale też i spokoju, że zdołała umieścić mnie w złotej klatce, w której bezpiecznie doczekam ich powrotu. Marzenia o powtarzanej podróży poślubnej, jak lubiła powtarzać, na szczęście trochę stonowały jej troskliwość.

Do domu wracaliśmy razem. Do dnia ich wyjazdu nie chciałam rozstawać się z rodzicami. Kiedy minęliśmy zakręt, dostrzegliśmy przed furtką naszego domu dwóch mężczyzn, rozglądających się niecierpliwie. Sprawiali wrażenie, że na coś lub kogoś czekają. Jeden z nich, młodszy, zaglądał ciekawie przez płot do ogrodu. Staruszek przestępował z nogi na nogę i patrzył w kierunku, z którego nadjechaliśmy.

– Widzisz? – odezwała się do mnie mama z niejaką satysfakcją – Już obcy się kręcą. Jeszcze nie wyjechaliśmy. Może to włamywacze? – zwróciła się do ojca.

– Jacy włamywacze, Małgosiu – odparł pobłaźliwie. – Włamywacze nie czekaliby na właścicieli. Nie strasz Jagody, kochanie. Poza tym spójrz na tego starowinkę. Jaki tam z niego włamywacz?

Ojciec zatrzymał samochód i wysiadł pierwszy. Przez szyby obserwowałyśmy, jak wita się z przybyszami, podając im rękę. Potem otworzył furtkę i gestem zaprosił ich do środka. Zaciekawione opuściliśmy auto.

– Panowie chcą zamienić z nami kilka słów – wyjaśnił ojciec.

Mama wskazała im drzwi do salonu. Młodszy mężczyzna rozglądał się ciekawie, starszy zachowywał się, jakby znał tu każdy kąt.

– Proszę wybaczyć to nagłe najście – zaczął ten młodszy, gdy już usiedliśmy przy stole. – Przepraszam, powinienem się przedstawić. Nazywam się Zygmunt Kowalski, a to mój wuj, Wiesław Kowalski. Ja wiem, że to, co powiem, zaskoczy państwa, ale mój wuj bardzo pragnie kupić ten dom. Czy państwo byliby skłonni go sprzedać?

Zapadła cisza. Ojciec długą chwilę patrzył na mężczyznę, po czym wymienił szybkie spojrzenia z matką. W jej oczach zapaliły się dobrze mi znane iskierki. Zawsze je miała, gdy wpadał jej do głowy jakiś absurdalny pomysł. Zacisnęłam palce na krawędzi stołu i w napięciu czekałam na bieg wydarzeń.

– A dlaczego tak panu zależy? – odezwał się wreszcie ojciec spokojnym głosem.

– Proszę pana, to był mój dom, ja tu mieszkałam... – powiedział starszy pan i zerknął na młodszego. Tamten zapałem pokiwał głową. Nie wiedziałam, któremu bardziej zależało na kupnie.

– Mieszkał pan tutaj? Kiedy? – zdziwił się ojciec, a mama aż klasnęła w dłonie.

– Ach! Co za historia! – zawołała. Młodszy spojrzał na nią z sympatią.

– Ja się tu urodziłem. Jeszcze przed wojną. A potem wie pan... wojna. Co tu opowiadać. Tułał się człowiek. A na starość do gniazda się chce – powiedział i spojrzał spłoszony na młodszego. Ten pokiwał głową z aprobatą.

– Jasiu – wyrwała się mama. – Taka okazja!

– Małgosiu – upomniał ją ojciec. – Nie zamierzaliśmy sprzedawać domu...

– Jak to nie? Rozmawialiśmy o tym. Nie pamiętasz?! – zawołała mama. Na jej szyi pojawiły się czerwone plamy, co oznaczało, że emocje sięgnęły zenitu.

– Proszę cię, Małgosiu – zmarszczył brwi ojciec. – Nie można takiej decyzji podejmować pochopnie.

– No to zastanowimy się – powiedziała z naciskiem, po czym sięgnęła po torebkę, z której wydobyła wizytówkę. – Panowie. Tutaj mam numer telefonu. Proszę zadzwonić jutro... – zerknęła na ojca i zaraz się poprawiła: – Pojutrze. Tak, proszę zadzwonić pojutrze.

Młodszy poderwał się z miejsca, dopadł jej dłoni, którą zaczął cmokać bez opamiętania.

– Dziękuję... Bardzo pani dziękuję... – bąkał między cmoknięciami, aż zniecierpliwiona wyrwała mu rękę.

– Nie ma za co – skwitowała. – Proszę zadzwonić.

Kiedy wyszli, ojciec złapał się za głowę.

– Małgosiu, bój się Boga!

– Przecież sam mówiłeś, że nie chcesz już mieszkać w Krakowie. Zapomniałeś?

Siedziałam jak w teatrze, początkowo w milczeniu przysłuchując się słowom mamy. W końcu nie wytrzymałam.

– A moja pracownia? Nikt mnie nawet nie zapytał o zdanie!

– Jagoda, zorganizowałam ci miejsce do malowania. Nie narzekaj.

– Nie narzekam, ale nie chcę, żebyś sprzedawała dom.

– To dobry moment, Jagódko. Przez dwa lata i tak stałby pusty. Pieniądze za dom wpłacę na konto, a po powrocie kupimy sobie coś nowego – przekonywała. Ojciec się nie odzywał.

Nie wiem, jak wyglądała noc rodziców i jakich sztuczek użyła mama. Przy śniadaniu ojciec chrząknął i powiedział:

– Jagoda, opróżnij swój pokój. Sprzedajemy dom.

Piętnastego października odwiozłam rodziców na lotnisko. Mama była zdenerwowana i wciąż udzielała mi rad.

– Pamiętaj, kochanie, żebyś dobrze się odżywiała. I nie kładź się późno spać. Ubieraj się ciepło, bo kto będzie biegał z tobą po lekarzach, kiedy zachorujesz? Pamiętaj, że otworzyłam ci konto, korzystaj z niego, nie zabijaj się, nie smaruj po nocach tych swoich obrazków...

– Jestem dorosła, mamu.

– Wiem, skarbie, że jesteś dorosła. To nie znaczy, że nie będę się martwić. Z dniem narodzin dziecka matka staje się niewolnicą macierzyństwa. Tak już jest, przekonasz się kiedyś.

– Małgosiu, daj już spokój. Jagoda jest rozsądna, poradzi sobie. No pa, córeczko, pa. Leć, bo spóźnisz się do pracy. I uważaj na siebie.

– Będziemy dzwonić! – zawołała jeszcze matka, nie przestając mnie ścisnąć i tulić. – Noś szalik! Jagoda, szalik!

– Będę nosić, mamu, jeśli trzeba, to nawet dwa. Nie martw się. Bawcie się dobrze!

Podniosłam rękę na pożegnanie i wyszczerzyłam zęby w uśmiechu, chociaż łzy cisnęły mi się do oczu. Wiedziałam, że będę za nimi tęsknić. Ojciec był może trochę zagubiony, a mama nadwrażliwa, ale kochałam ich ponad wszystko. Wytarłam oczy i wsiadłam do toyoty, którą zostawili mi do użytku. Na wieczór zaprosiłam przyjaciółkę Agatę i do tego czasu powinnam się

pozierać. Kończyłam też ostatni zlecony mi obraz. W międzyczasie zebrałam dwa zamówienia na portrety, podpisałam też umowę na wykonanie ilustracji do książki. Pracy mi nie brakowało, ale postanowiłam odnowić kontakty z przyjaciółmi, których ostatnio nieco zaniedbałam. Agata pójdzie na pierwszy ogień. Zaprzyjaźniłyśmy się jeszcze w szkole i tak już zostało. Czy widziałyśmy się rok temu, czy też rozstałyśmy się przed chwilą, zawsze miałyśmy o czym rozmawiać. Agata robiła głównie plakaty do filmów. Czasem też malowała wyjątkowe obrazy, które wystawiano na całym świecie. Była cierpliwa i szlifowała swój warsztat długo i konsekwentnie. Nie zadowalała się przeciętnością. Zarabiała na plakatach. Obrazy uznawała za prawdziwe dzieła sztuki i pokazywała je światu jedynie wtedy, gdy wydawały jej się idealne. Mimo że była artystką, stąpała twardo po ziemi, szukając coraz to nowszych możliwości do promowania siebie. Umiała się sprzedać i zarobić przy tym niezłe pieniądze, ale potrafiła też pozbyć się tych sum w ciągu tygodnia. Często więc klepała biedę. Lubiła też komplikować najprostsze sprawy, ale to tylko dodawało jej uroku.

Wieczorem stanęła w progu mojego nowego mieszkania w wielkim, filcowym kapeluszu. W rękach trzymała sporych rozmiarów paczkę.

– To dla ciebie. Na nowe gospodarstwo. – Wręczyła mi pakunek. Był to ogromny kielich z matowego szkła.

– Mam z tego pić? – zdziwiłam się.

– No coś ty! To świecznik na pływające świece. Zamówiłam go specjalnie dla ciebie. Prosto z huty. A tu masz jeszcze... – Pogrzebała w przepastnym worku służącym jej za torebkę. – Świeczki. Proszę bardzo.

Wyściskałam Agatę i oprowadziłam ją po mieszkaniu.

– Czuję tu rękę twojej mamy – powiedziała z lekką nutką zazdrości. – Jest pięknie!

– O tak, zajęła się wszystkim – potwierdziłam, oblizując palec z majonezu, który właśnie dodawałam do sałatki.

Gadałyśmy, piłyśmy drinki i śmiałyśmy się do rozpuku. Nie mogłam jednak oprzeć się wrażeniu, że Agata coś przede mną ukrywa. W pewnej chwili zamilkłyśmy i spojrzałyśmy sobie głęboko w oczy. Milczenie ciążyło, nabrzmiewało. Czułam, jakby za chwilę miał mi pęknąć mózg.

– Powiedz, Agata – odezwałam się cicho, biorąc ją za rękę. – Mów, będzie ci lżej. Coś się stało?

– Tak – odparła. – I nie jestem pewna, czy chcesz o tym wiedzieć.

– Zawsze chcę wiedzieć o wszystkim, co dotyczy ciebie.

Przez chwilę milczała, być może żałując, że ogóle się odezwała. Potem przez jej twarz przebiegł grymas, jakby stłumiony uśmiech. Coś narodziło się w jej głowie.

– Jagoda... to nie dotyczy mnie.

– Nie? A kogo?

– Ciebie.

Zamurowało mnie. Zastanawiałam się gorączkowo, co to mogło być. Niepokój kiełkował i rozrastał się, jego drapieżne macki sięgały każdej komórki mojego ciała. Agata wiedziała o czymś, czego ja się nawet nie spodziewałam. Czego nie potrafiłam sobie wyobrazić.

– Powiedz! – zażądałam wreszcie. Dreszcz przeszył mi kręgosłup. – Jak to mówią, najgorsza prawda lepsza jest od niepewności – uśmiechnęłam się blado.

– Nie, Jagoda. W twoim przypadku nie ma najgorszej prawdy. Jest nieświadomość. I to jest lepsze od niepewności. Żałuję, że się odezwałam.

– Ale zaczęłaś! Więc mów. Do końca!

– Nie mogę. Przepraszam, lepiej, żeby powiedział ci to ktoś inny. A ja sobie już pójdę.

– O nie! Nie mam zamiaru wypuścić cię za próg tego domu, zanim mi nie powiesz, co się stało! – krzyknęłam. Cała drżałam. Miałam ochotę złapać ją mocno za ramiona i potrząsnąć nią z całej siły.

– Dobrze – westchnęła. – Sama tego chciałaś.

Patrzyłam w niemym oczekiwaniu, jak zbiera się w sobie, przy mierza do przekazania mi tej strasznej wiadomości. Wstrzymałam oddech.

– Dziś poniosłaś największą stratę swojego życia... – powiedziała w końcu, patrząc mi uważnie w oczy.

– Co? – wyjąkałam. – Jaką stratę? Co ty mówisz? Jezus Maria! Samolot, tak? Rozbił się samolot i moi rodzice... No mówże wreszcie!

– Nie, no co ty, głupia jesteś? Zaręczyłam się dzisiaj – wyrzuciła jednym tchem i zrobiła unik, bo rzuciłam w nią tyżeczką.

– Wariatka! – krzyknęłam i poderwałam się z miejsca.

Agata wypadła z pokoju i zatrzasnęła się w łazience.

– Otwórz, wariatko! Otwórz! Zabiję cię! Otwieraj! – darłam się, łomocząc pięściami w drzwi, za którymi Agata wyła ze śmiechu. – Czekaj, niech cię dopadnę! – wrzasnęłam, gdy nagle usłyszałam dzwonek.

Dźwięk był zaskakujący i w pierwszej chwili nie wiedziałam, skąd pochodzi. Drzwi wejściowe otworzyłam tylko dlatego, że dźwięk się powtórzył i brzmiał dość natarczywie. W progu stała kobieta. Wyglądała na jakieś sześćdziesiąt lat. Jej tęgie ciało opinał połyskliwy bordowy szlafrok w czarne kółka.

– Która godzina? – zapytała napastliwie.

– Nie wiem – odparłam. Czarne kółka wirowały mi w oczach.

– Za dwadzieścia pierwsza! – krzyknęła Agata z łazienki. – Jezu, Jagoda, muszę się zbierać!

– Najwyższa pora – mruknął szlafrok. – Następnym razem sprowadzę dzielnicowego.

– Dobrze – zgodziłam się uprzejmie. Szumiało mi w głowie i nie bardzo wiedziałam, o co chodzi. Kobieta w szlafroku odwróciła się i poniosła swoje kółka piętro wyżej.

Wybaczyłam Agacie i ułożyłam ją do snu w sypialni, sama zaś spałam na sofie w salonie. Nie miałam sumienia wyprawiać jej w noc.

W wirze codziennych zajęć szybko przyzwyczaiałam się do nowego miejsca, a nawet do nieobecności rodziców. Oczywiście odczuwałam ich brak, ale niezbyt boleśnie. Czasem próbowałam wyobrazić sobie, co teraz robią, jak żyją. Może nawet przez krótką chwilę zazdrościłam im tego wyjazdu, ale stany te mijały szybko, zajmowałam się bieżącymi sprawami. Mama początkowo potrafiła dzwonić nawet dwa razy dziennie, potem telefony stawały się coraz rzadsze. Bywało, że w ciągu tygodnia nie zadzwoniła ani razu i sama musiałam upominać się o kilka słów. Nie miałam jej tego za złe. Przeciwnie, cieszyłam się, że wreszcie przestała mnie kontrolować. Z kalendarza wypełził listopad i nim się obejrzałam, już opłakiwał strugami deszczu огоłocone z liści drzewa. Realizowałam umowy, wykonując portrety ze zdjęć klientów. Przez okna mojego atelier obserwowałam tarmoszone wiatrem gałęzie i cieszyłam się w duchu, że nie muszę codziennie wychodzić do pracy. Tego ranka zaplanowałam uporządkowanie skrzyni z pędzlami i resztką farb. Musiałam uzupełnić braki, bo ostatnio sporo malowałam. To nic, że obrazy łądowały za szafą. Czułam potrzebę eksperymentowania z barwą. Przeglądając zawartość skrzyni, zauważyłam brak całego kompletu nowiutkich pędzli firmy Winor Newton, które polecił mi Konrad. Przy okazji stwierdziłam, że nie mam małej sztalugi i kilku dużych podobraz. Przypomniałam sobie, że wszystko to zostało w starej pracowni, którą miałam opróżnić tuż przed naszą wyprowadzką. Bez wahania włożyłam kurtkę, po krótkim zastanowieniu owinęłam

szyję szalikiem, uśmiechając się leciutko do wspomnienia słów matki na lotnisku. Wiatr szarpnął drzwiami od bramy i niemal wyrwał mi je z rąk. Dotarłam na parking, gdzie czekała na mnie toyota ojca. Ruszyłam w stronę starego domu, zastanawiając się, jak przyjmie mnie jego nowy właściciel.

Czwarty raz naciskałam brzęczyk przy furtce, gdy w kuchennym oknie wreszcie ukazała się twarz staruszka. Pomachałam niepewnie ręką, ale on nie odpowiedział podobnym gestem. W dodatku zasłonił firankę. Nie miałam pojęcia, co o tym sądzić. Rozejrzałam się bezradnie i już miałam zamiar ustąpić, kiedy drzwi uchyliły się, a staruszek zawołał ochryplym głosem:

– Otwarte!

Nacisnęłam klamkę i ruszyłam znajomą ścieżką w kierunku domu. Staruszek był w piżamie, co przyprawiało go o zakłopotanie.

– Przepraszam panią najmocniej, jestem trochę chory. Pani do mnie?

– Tak, nie poznaje mnie pan?

– Nie...

– Mieszkałam tutaj. Jestem córką poprzednich właścicieli.

– Ach, tak. Przypominam sobie. Wie pani, pamięć już nie ta...

– Na strychu zostawiłam trochę swoich rzeczy, czy mogę je zabrać?

– Tak, tak. Ja tam nie chodzę. Za wysoko.

– Miałam tam swoją pracownię.

– Słucham?

– Malowałam tam obrazy, miałam pracownię.

– A, tak... Rozumiem. Może pani malować, mnie to nie przeszkadza.

– Nie, przyjechałam tylko po swoje rzeczy.

– Trudno...

– Trudno?

– Człowiekowi markotno samemu, a tak ktoś choć na schodach ślad zostawi.

Zrobiło mi się przykro. Staruszek patrzył niby na mnie, ale tak naprawdę jego wzrok sięgał dalej, przenikając moją twarz jak powietrze.

- Nikt tu pana nie odwiedza?
- A kto by tam chciał do starego. Komu ja jestem potrzebny?
- A ten pan, co tu był? Pan jest jego wujem, tak?
- Zygmuś? On daleko. W Warszawie mieszka.
- Nie rozumiem. I przywiózł pana tutaj? Samego?
- Ach, takie tam... Nie mówmy...

Machnął ręką i zaniósł się kaszlem.

– Był pan u lekarza?

– A kto by wiedział, gdzie tu teraz lekarz. Przed wojną to ja wiedziałem... Zresztą po co mi lekarz? Osiemdziesiąt cztery lata skończyłem, a śmierć o mnie zapomniała.

– Nie zapomniała, nie zapomniała. O każdego się upomni. A na pana widocznie jeszcze nie czas. Powinien pan się cieszyć.

– Ja już cieszyć się nie mam z czego.

Staruszek pokiwał głową i rozejrzał się, jakby szukał krzesła.

- Niech się pan położy.
- Słucham?
- Ciężko stać, niech się pan położy.
- Tak, położę się, położę. Słaby coś jestem.
- Jadł pan coś dzisiaj?
- Dziś jeszcze nie. Zbieram się iść chleba kupić. Ale wiatr taki... Może minie, to pójde.

Spojrzałam na jego przygarbioną sylwetkę i serce ścisnęło mi się z żalu.

– Wie pan co? Niech pan nigdzie nie wychodzi. Zrobię panu zakupy. Mam samochód, załatwię to raz dwa.

– Dziękuję – uśmiechnął się z wdzięcznością.

Wsiadłam do toyoty, ale zanim ruszyłam, oparłam głowę na kierownicy i zaklęłam:

– Cholera, jaki świat jest okrutny!

Najpierw załatwiłam domową wizytę lekarza. Potem w pobliskim sklepie kupiłam wszystko, co potrzeba, a po namyśle dorzuciłam jeszcze tabliczkę czekolady. Do domu weszłam, tym razem nie pukając, i zawołałam z przedpokoju:

– Wróciłam! Niech pan nie wstaje, zaraz przygotuję śniadanie.

W dobrze znanej kuchni zagotowałam mleko i wysypałam do niego kakao. Potem ukroiłam dwie kromki chleba, posmarowałam masłem i obłożyłam suto serem i wędliną. Udekorowałam wszystko pomidorem, ustawiłam na tacy i zaniósłam choremu.

– Boże, mój Boże! – Pokręcił głową i głośno przełknął ślinę.

– Trzeba sobie dogadzać. Na co trzymać pieniądze?

– Pieniądze nic niewarte. Dobroci nie kupisz.

– Nie trzeba jej kupować. Sama przyjdzie.

Zostawiłam go z tym jedzeniem, a sama wróciłam do kuchni. Podśpiewując radośnie, sprzątnęłam ze stołu i zajęłam się obieraniem warzyw na zupę. Nawet nie zauważyłam, kiedy starszy pan stanął w drzwiach z pustą tacą. Zamilkłam i spojrzałam na niego zmieszana.

– Niech pani śpiewa. Dawno nie słyszałam... Moja matka zawsze śpiewała w kuchni.

– Eee... Ze śpiewaniem to u mnie nie bardzo... – bąknęłam.

– Kiedy wybuchła wojna, ojciec kazał mnie i matce jechać do Warszawy. Nie wiem, czemu myślał, że tam lepiej. Zatrzymaliśmy się u znajomej matki, pani Walerii. Pamiętam, że ona strasznie się wszystkiego bała. No i chyba tym strachem sprowadziła nieszczęście, bo w środku nocy do drzwi zaczęli walić gestapowcy. Ja spałam w szafie, tam nie szukali, ale panią Walerię i matkę zabrali. Nigdy nie dowiedziałem się, dokąd. Wtedy widziałem je po raz ostatni. Włóczyłem się po Warszawie i zebrałem. Cudem

przeżyłem do czterdziestego drugiego roku. Raz wskoczyłem do tramwaju i natychmiast wpadłem w łapy Niemców. Oczywiście nie miałem żadnego biletu. Wywieźli mnie do Łodzi, do Małego Oświęcimia. Tak nazywano to miejsce, bo to był obóz dla dzieci. Strasznie tam było. Nawet dwuletnie dzieci tam więzili. Jeden chłopak chciał uciekać. Złapali go. Postawili na mrozie i kazali śpiewać. Stał pod ogrodzeniem, bo tam był taki wysoki parkan z desek, więc on stał pod tym parkanem i śpiewał na całe gardło: *To ostatnia niedziela, dzisiaj się rozstaniemy...* Śpiewał tak i śpiewał, aż zamarzył – zrelacjonował starszy pan i pokiwał smutno głową.

Mniej więcej dwie godziny później zjawił się lekarz. Zbadał staruszkę i przepisał mu lekarstwa. Potem zawołał mnie i poinstruował:

– Proszę to wykupić dziadkowi jak najprędzej. Im wcześniej zaczniesz brać, tym szybciej dojdzie do siebie. I niech pani kupi mu jakieś naturalne witaminy. Wie pani, miód, maliny, czosnek, herbatki z czarnego bzu...

– Wiem, dobrze. Zaraz to wszystko załatwię.

– Przy takiej wnuczce aż miło się choruje, co? – zwrócił się do pana Wiesława i poklepał go po ramieniu. – Zdrowia życzę!

Pożegnał się i wyszedł. A starszy pan przytrzymał mnie za rękę i powiedział:

– Dziękuję ci, wnusiu.

Chociaż nie miałam za dużo czasu, zaglądałam do niego dość często. Cieszył się na te spotkania. Miał też swoje rytuały. Kiedy przynosiłam z kuchni herbatę, podnosił się z fotela, otwierał szafę i z tajemniczym uśmiechem wydobywał z jej dna blaszane pudełko. Wybierał z niego dwa miętowe cukierki, z których jeden podawał mnie, drugi zaś powoli odwijał z szeleszczącego papierka, z namaszczeniem wkładał do ust i ssał głośno, przymykając z błogością oczy. Wydawać by się mogło, że cukierek

ów stanowi dla niego szczyt luksusu. Byłam pewna, że nie zjada ich w samotności, ponieważ wymagały specjalnej oprawy. Czułam się zaszczycona, że moje wizyty uważa za taką odświętną chwilę. Żadna z przywiezionych przeze mnie czekoladek nigdy nie doczekała się tak wyjątkowego traktowania. Pan Wiesław nie był wylewny, ale zdarzało się, że między słowami o pogodzie przemyczał opowieści ze swojego życia.

– Ten dom budował mój ojciec. Na początku był niewielki, ale wystarczał na nasze potrzeby. Te dwa skrzydła ojciec dobudował dla Antka i Frania, moich braci, kiedy się ożenili. Ja byłam najmłodszy, to mieszkaliśmy w jednym pokoju z matką. Po wyzwoleniu nie było już matki. I jak mówiłem, do dzisiaj nie wiem, co się z nią stało. Ojciec i Antek zginęli podczas wojny. A dom zajęli obcy. Nie miałem gdzie się podziać, to zaciągnąłem się do takiego oddziału, który walczył z komunistami. Tam poznałem Ninę, sanitariuszkę. Ładna była. Chciałem się z nią żenić. Ja też byłem jej po sercu – dziadek uśmiechnął się, jakby zobaczył tę swoją Ninę – ale złapali ją i zamęczyli w więzieniu. Takie były czasy.

– To dziadek się nie ożenił?

– A jakże! Z Anielcią. Najpierw mieszkaliśmy kątem u jej ciotki. Niedobra ta ciotka była. Anielcia nieraz przez nią płakała. O, tutaj jest na zdjęciu. – Wybrał czarno-białą fotografię i mi ją podał. Zdjęcie było niewyraźne i niewiele mogłam zobaczyć, pokiwałam więc tylko głową i stwierdziłam:

– Rzeczywiście. Od razu widać, że zła baba.

– Czekaj, no – zabrał mi zdjęcie i przyjrzał mu się, mrużąc oczy. – To jest moja Anielcia, nie ciotka. Tutaj jest ciotka – sprostował, podając mi inną fotografię.

Tym razem wolałam nie komentować, chociaż po wyrazie twarzy można było wywnioskować, że ta kobieta to kawał sekutnicy.

– Mieszkaliśmy u tej ciotki dwa lata. Komuna była, bieda. W pięćdziesiątym drugim powiedziałem do Anielci, że dłużej nie dam rady. Miałem dwadzieścia cztery lata i nie chciałem tak żyć. Zawiozłem ją do matki, a sam pojechałem do Gdańska. – Staruszek zamyślił się, jakby posmutniał. – Powiedziałem, że jak tylko zagospodaruję się na Zachodzie, to ją sprowadzę. Wtedy zmieniło się całe moje życie. Może byłoby inaczej, gdybym został – westchnął. – Chciałem uciekać. Ale jak uciekać, kiedy Polskę ogrodzili kolczastym drutem, długim na dwa tysiące kilometrów? Trzydzieści tysięcy żołnierzy jej pilnowało i strzelało do każdego, kto próbował uciec. Tułałem się po tym Gdańsku, spałem na dworcu, cały czas byłem jak ten zając pod miedzą, bo chodzili, łapali takich jak ja. Aż pewnego dnia, kiedy kręciłem się blisko portu, spotkałem jednego marynarza, który pomógł mi dostać się na szwedzki węglowiec. Tamci przeszmyglowali mnie pod pokładem. Popłynąłem przez Ocean Atlantycki do Ameryki, do Stanów Zjednoczonych... Ech, długo by opowiadać.

– A Anielcia? Co z nią?

– Jej spokoju nie dawali. Zaraz służby zaczęły węszyć. Byłem przecież wrogiem państwa, może szpiegiem. Grozili jej. Nie chcę wspominać. Jeśli tak było, to moja wina. Zostawiłem ją, kiedy... Ach, takie tam... Trudno o tym mówić.

Odniosłem wrażenie, że dziadek nie powiedział mi wszystkiego.

– I został dziadek w tej Ameryce? – zapytałam, starając się dowiedzieć czegoś więcej.

– A jakże, zostałem. Kto by chciał wracać na śmierć albo co najmniej więzienie?

– Ale w końcu dziadek wrócił.

– Tęsknił człowiek za swoimi. Tylko że kiedy wróciłem, nikogo już nie było. Chciałem szukać Anielci, ale wszystko się pozmieniało, kontakt się urwał, adresu nie miałem, a Zygmus,

syn Frania powiedział, że ona uciekła z jakimś chłopem. Pewnie nie chciałaby nawet się ze mną spotkać. Więc on się mną zajął i zabrał do siebie, do Warszawy. Szybko się połapałem, że najbardziej go moje dolary interesują. Na początku dawałem, potem coraz mniej, więc naradzili się z żoną, żeby ten dom kupić i się przeprowadził. Pozbyli się starego.

– Odwiedzają dziadka?

– Odwiedzają, a jakże! Wczoraj syn Zygmuś był z kolegą. Pochodzili, popatrzyli i pojechali. Trochę zielonych jeszcze mam, więc przyjeżdżają – stwierdził z ironicznym uśmiechem. – To i tak na nich przejdzie, bo... na kogo? O, teraz święta idą, więc do Warszawy mnie zabiorą. I tak będziemy udawać, że jesteśmy kochającą się rodziną, aż umrę. A potem dorwą się do tego, co jeszcze po mnie zostanie. Takie życie.

Zbliżały się święta i po raz pierwszy odczułam prawdziwą pustkę, jaka wytworzyła się wokół mnie po wyjeździe rodziców. Mama wprawdzie dzwoniła teraz częściej, lecz świadomość, że zostałam zupełnie sama w czasie, który kojarzył się z rodzinną atmosferą, całkowicie mnie przytłoczyła. Nawet dziadek wyjechał do Warszawy. Dzień przed Wigilią wyszłam z domu, żeby zająć czymś myśli, nieustannie krążące wokół rodziców i wspomnień wspólnych świąt. Zmierzch zapadł szybko i dzień ukrył się pod czarną zasłoną, rozświetloną kolorowymi neonami i lampkami zdobiącymi uliczne choinki. Przechodnie potrącali się wzajemnie, brodząc w brudnym śniegu zalegającym na chodnikach. Samochody sunęły po mokrym asfalcie, w którym odbijały się migotliwe światła. Od czasu do czasu zniecierpliwieni kierowcy dawali znak klaksonami, że śpieszą się bardziej niż inni. Nikt nie zwracał uwagi na przedświąteczny klimat, jakby odsunięty na bok. Twarze przechodniów wyrażały skupienie lub rozdrażnienie. Nerwowe matki szarpały ociągające się dzieci, a mężowie sarkali na żony. I tylko w jednym miejscu krok zwalniał, a spojrzeń łagodniały. W przejściu między starymi kamienicami stał skrzypek. Spod smyczki wypływała melodia, ogrzewała serca i frunęła prosto do nieba. Ludzie zatrzymywali się, wyłuskiwali monetę albo dwie, wrzucali do starego futerału i nucąc pod nosem podchwyconą melodię, odchodzili. Wydawało im się,

że stali się trochę lepsi, świąteczny klimat do nich wracał. Przystanęłam, poszperałam w kieszeni kurtki i wydobywszy kilka złotych, podeszłam do skrzypka.

Podziękował z ledwie uchwytnym uśmiechem i spojrzał na mnie życzliwie. Melodia była przejmująca, żal było odejść, więc odsunęłam się na bok i słuchałam jak zaczarowana. Białe śnieżne baletnice wirowały w powietrzu, opadając miękko pod buty przechodniów. Przed oczami pojawił się obraz innej zimy. Widziałam siebie, jak z rączką wsuniętą w dużą dłoń ojca drepczę między drewnianymi góralskimi chatami. Matka szła nieco z tyłu, zachwycając się górskim krajobrazem. Wspomnienie było wyraźne, nabrzmiewało, trzepotało w sercu. Stałam, zapatrzona w przeszłość, dopóki nie ucichła grana przez skrzypka kolęda. Odeszłam, wypełniona smutkiem i tęsknotą. Robiło się coraz później, mimo to odwlekałam powrót do domu, w którym teraz czułam się bardzo samotnie.

Parę kroków dalej była niewielka, choć dość ekskluzywna kawiarnia. Zwykle wybierałam tańsze kafejki, dziś jednak bez wahania pchnęłam tamte oszklone drzwi. Otoczyło mnie przyjemne ciepło i zapach charakterystyczny dla bardziej wykwintnych lokali. Aromat kawy, woń kardamonu z ulotną nutą kamfory mieszały się tu z subtelnością dobrych perfum nasuwających skojarzenie z elegancją. W tle sączyły się dźwięki orientalnej muzyki. Zwabiona magią tego miejsca, zdjęłam puchową kurtkę i uważnie rozejrzałam się po wnętrzu. Kelner odebrał moje okrycie i wskazał stolik. Usiadłam, poprosiłam o gorącą herbatę, po czym jeszcze raz się rozejrzałam, tym razem dyskretnie. W kawiarni było mało ludzi. Dwa stoliki dalej siedziała starsza para wyglądająca na małżeństwo. Nie rozmawiali ze sobą, obserwowali otoczenie znudzonym wzrokiem. Przyglądałam się im, dopóki mojej uwagi nie przykuł młody mężczyzna, zupełnie niepasujący do tego miejsca. Jego zamyślona twarz o nieco ciemniejszej karnacji i trochę

wschodnich, jakby azjatyckich rysach przyciągała jak magnes. Siedział pod oknem, zapatrzony w sypiący za szybą śnieg. Obok niego stała gitara – niedbale oparta o stolik. Ktoś ją przypadkiem potracił i wydała głuchy dźwięk. Wtedy chłopak się ocknął, rzucił szybkie spojrzenie w kierunku drzwi, potem na zegarek. Jego spojrzenie przepłynęło także po mnie, lecz nie dostrzegłam nawet cienia zainteresowania. Jego palce zaczęły nerwowo bębnić w blat stolika. Nagle poczułam chłód – przez gwałtownie otwarte drzwi kawiarni weszła dziewczyna w kozaczkach na wysokim obcasie. Zawahała się, zanim energicznym krokiem ruszyła w kierunku okna. Powiało Euforią. Wyrafinowany zapach pobudził zmysły nawet znużonego dotąd kelnera. Ożywił się i odrobinę wspiął na palce, by wydać się wyższym i atrakcyjniejszym. Dziewczyna nie zwróciła na niego uwagi i, nie zdejmując futerka, przysiadła na brzegu krzesła przy stoliku, który obserwowałam. Taksowałam połyskliwe pończochy na smukłych nogach, krótką fryzurkę sterczącą nad czołem, zgrabne ruchy. Chłopak jednak zdawał się tego nie zauważać. Kiedy nachyliła się w jego kierunku i mówiła o czymś z przejęciem, słuchał uważnie, choć nie odrywał wzroku od filiżanki. Od czasu do czasu kiwał głową, ale ani razu się do niej nie uśmiechnął. Dziewczyna nie zabawiła długo. Gdy wyszła, chłopak dopił kawę, sięgnął po kurtkę przewieszoną przez oparcie krzesła, wygrzebał z kieszeni pieniądze i rzucił je na stół. Wyszedł, nie oglądając się za siebie. Została po nim porcja zimowego chłodu, która nieproszona wtargnęła z ulicy. Do pustego stolika podszedł kelner. Przeliczył pieniądze i uprzątnął filiżankę. Sytuacja jakich wiele. Przyglądałam się wszystkiemu tylko dlatego, że byłam tu sama i nie miałam nic lepszego do roboty.

A jednak ten chłopak musiał mieć w sobie coś, skoro następnego dnia pomyślałam o nim zaraz po przebudzeniu. Zapadł mi w pamięć, sama nie wiem dlaczego. To prawda, był przystojny. I te oczy. Wyzierała z nich nostalgia, a jednocześnie jakiś bunt,

jakby ich właściciel toczył walkę z samym sobą. Nie mogłam zapomnieć jego sięgających ramion włosów, czarnych jak smoła. Rzadko takie widywałam. W ogóle cała ta postać była bardzo egzotyczna. W pracowni od niechcenia naszkicowałam szybki portret z pamięci. Potem przyjrzałam mu się krytycznie. Tak mniej więcej wyglądał. Szkic nie oddawał jednak jego wnętrza. Zostawiłam papier na sztaludze i zabrałam się za robienie kawy. Niedługo potem zadzwoniła Agata.

– Jagoda! – zawołała. – Musisz tu koniecznie przyjść! Teraz, natychmiast!

Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, zakrztusiłam się kawą i zaniósłam kaszlem.

– Jagoda, szybko! To się może w każdej chwili skończyć!

– Dobrze, idę! Tylko dokąd?

– Do Rynku. Szybko! Jestem przy Sukiennicach, blisko Noworolskiego.

Odstawiłam niedopitą kawę i ruszyłam do drzwi. Wypadłam na klatkę schodową w rozpiętej kurtce, owijając się po drodze szalikiem. Szlafrok w kółka, czyli pani Kosiak, przechodziła właśnie pod moimi drzwiami, niosąc ostrożnie dwadzieścia jaj w tekturowym opakowaniu.

– A niech cię! – zawołała, usiłując rozpaczliwie złapać wytrąconą z rąk wytłaczankę.

– Przepraszam... – bąknęłam, przyglądając się, jak żółta maź zbliża się do mojej wycieraczki. – Zaraz to posprzątam.

– Posprzątam – warknęła. – Co mi z tego?

– Odkupię pani te jajka.

– No ja myślę. Szalona głowa. Idź szybko, bo targ zaraz zamknie.

– Targ?

– A coś ty myślała? Ja sklepowych jajek nie jem. Na Kleparz idź, do Wojciecha. On ma zawsze świeże.

– Dobrze. Kupię u Wojciecha – mruknęłam, nie dociekając, gdzie tego Wojciecha znajdę.

Zbiegłam po schodach i, pomstując w duchu, pomaszzerowałam na Stary Kleparz. Ukryty w torebce telefon wydierał się wniebogłosy. Doskonale wiedziałam, że to Agata wyraża swoje zniecierpliwienie.

– Idę po jajka – rzuciłam w słuchawkę, zanim zdążyła się odezwać i nie słuchając, co ma mi do powiedzenia, rozłączyłam się.

Zakupu dokonałam u pierwszej lepszej baby. Zaniósłam jaja Kosiakowej i zabrałam się za sprzątanie przyschniętej pod drzwiami jajecznicy. Potem zadzwoniłam do Agaty.

– Ech, nie zdążyłaś – stwierdziła zawiedziona. – Już nawet nie dzwoniłam, bo szybko skończyli.

– Nie dzwoniłaś? – zdziwiłam się, zastanawiając się, kogo wobec tego poinformowałam, że idę po jajka.

– Nie, zaraz poszli.

– Ale o kim ty właściwie mówisz? Kto poszedł?

– Kapela. Nazywa się Corba. Słyszałaś o niej?

– Nic mi ta nazwa nie mówi.

– No właśnie. A jest świetna. To nasi, z Krakowa.

– Trudno. Jeśli taka dobra, na pewno ją jeszcze usłyszymy. A skoro jesteś w pobliżu, może wpadniesz do mnie na herbatę z wiśniami?

– Uwielbiam twoją herbatę z wiśniami, ale jestem umówiona z Robakiem.

– Z kim?

– Z moim chłopakiem, Robertem. Robakiem.

– Szkoda. Myślałam, że pogadamy.

– Innym razem. Pa!

Zakończyłam rozmowę i zerknęłam na wyświetlacz telefonu. Widniał tam nieznanym mi numer. To właśnie jego właściciela zawiadomiłam o jajkach.

Resztę dnia spędziłam na malowaniu ilustracji do książki o zwierzętach. Nie przepadałam za tą robotą, była żmudna, a wydawcy narzucali własne koncepcje, ale trzeba było zarabiać na chleb. Telefon zadzwonił ponownie wieczorem.

– Dzień dobry, nazywam się Juliusz Kotoń. Czy rozmawiam z panią Jagodą Czajewską? Pani numer otrzymałem od Konrada. Wie pani, o kogo chodzi?

– Tak, oczywiście.

– Mam nadzieję, że nie ma pani o to do niego pretensji?

– Nie wiem. Zależy, po co pan dzwoni. – Ten wstęp do właściwego tematu mnie zaintrygował.

– W sprawie konkursu malarskiego. Konrad zasugerował, że mogłaby pani wziąć w nim udział.

– Co to za konkurs?

– Ogólnopolski. Jest to konkurs Fundacji Niematabu. Jego celem jest wsparcie dla polskich artystów przełamujących twórcze konwenanse.

– Jakie są wymagania?

– Organizatorzy nie narzucają techniki malarskiej ani tematu. Może pani namalować, co się pani podoba i jak pani chce. To chyba wygodne, prawda? Poza tym pozostawia swobodne pole do działania. W końcu chodzi o przełamywanie stereotypów.

– Rozumiem – powiedziałam i już zaczęłam zastanawiać się nad tematem obrazu, który namaluję.

– Prace plastyczne dostarczone w terminie będą nominowane do nagrody fundacji Niematabu i wyeksponowane na wystawie w Krakowie.

– Wystawa w Krakowie. Ciekawa nagroda. – W moim głosie nie dało się nie wyczuć ironii.

– O nie. Wystawa dotyczy wszystkich uczestników. Natomiast laureaci otrzymają nagrodę pieniężną i możliwość wyjazdu na trzytygodniowy plener w Beskidach. A środki ze sprzedaży prac

konkursowych Fundacja przeznaczy na promocję naszych artystów w kraju i za granicą. Niech pani spróbuje, co pani szkodzi?

– Zastanowię się. Do kiedy mam czas?

– Pod koniec marca jest ostateczny termin przyjmowania prac. Ma pani przed sobą trzy miesiące.

– Dziękuję. Przemyślę propozycję i dam panu znać.

– Proszę się pośpieszyć. Zgłoszenia przyjmujemy do końca grudnia. Kupiła pani jajka?

– Słucham? A... Tak, kupiłam. – Poczułam, że się rumienię. Trzeba było wyjaśnić tę sprawę. – Przepraszam pana. Myślałam, że mówię do przyjaciółki.

– Nie szkodzi. Konrad mnie uprzedzał, że jest pani trochę zakręcona. Do usłyszenia.

– Do usłyszenia.

Przełamywanie stereotypów – pomyślałam, wchodząc do pracowni. Przysiadłam na brzegu skrzynki z pędzlami i zawiesiłam wzrok na sztaludze ze szkicem.

Święta spędziłam ostatecznie z Agatą i jej rodziną. Był też Robak, który okazał się sympatycznym facetem. Wprawdzie bywał zasadniczy i poważny, ale miał poczucie humoru, dzięki któremu udawało mu się rozładowywać istniejące napięcie. Po świętach zadzwoniłam do Juliusza Kotonia i zgłosiłam swój udział w konkursie.

– Świetnie. Wobec tego prześlę pani formularz zgłoszeniowy. Kiedy podałam adres, zdziwił się.

– Mieszka pani w tej trzypiętrowej kamienicy, naprzeciw sklepu z obuwiami?

– Tak.

– Na którym piętrze?

– Na pierwszym.

– A to dopiero! Piętro wyżej mieszka moja matka.

Z wrażenia zaschło mi w gardle.

– Pani Kosiak? – zapytałam niepewnie.

– Nie, nie – roześmiał się. – Znam Kosiakową. Mieszka naprzeciw. Moja matka nazywa się Kotoń, tak jak ja. Będę tam dzisiaj, mogę przynieść pani formularz.

Juliusz Kotoń okazał się blondynem o jasnoniebieskich oczach i ujmującym uśmiechu. Wszedł, trzymając za rękę małą dziewczynkę. Wyglądała na cztery latka.

– Zabrałem ją od babci – wyjaśnił.

– Proszę wejść, zrobię herbatę – zaproponowałam.

– Chętnie, dziękuję – ucieszył się. – W domu mam straszny bałagan, a żona w delegacji. Od kilku dni żyję perspektywą nieuniknionego sprzątnięcia – westchnął. – To moja córka, Amelia.

Dziewczynka spojrzała na mnie dużymi, niebieskimi oczami i uśmiechnęła się szeroko. Ucisnęłam małą rączkę i gestem zaprosiłam do środka.

– Tutaj jest formularz, proszę – powiedział pan Juliusz i położył druk na ławie.

– Dziękuję. Zaraz go wypełnię. Siadajcie, a ja zajmę się herbatą.

Przeszłam do części kuchennej i nastawiłam czajnik. Po chwili przydreptała Amelia i z uwagą śledziła moje ruchy.

– Lubię wesołe czajniki – stwierdziła, sadowiąc się na wysokim krześle przy barze.

– Uważasz, że mój czajnik jest wesoły?

– Tak, ma zadarty do góry nos.

– Aha...

– Jest wesoły, bo woda opowiada mu bajki.

– Bajki, mówisz...

– Tak, ale ja ich nie rozumiem. Po jakiemu mówi woda?

Nie miałam pojęcia, po jakiemu mówi woda, więc spojrzałam na pana Juliusza, szukając ratunku. Ten tylko bezradnie rozłożył ręce.

– Myślę, że... – Potarłam z zastanowieniem brodę. – ...że ona mówi bardzo mokrym językiem.

– A mój język jest suchy?

– No, niezupełnie.

– Ale bardziej suchy niż wody?

– Niewątpliwie.

– Bo go wietrzę powietrzem?

– No właśnie.

– A ile waży powietrze?

Rany boskie. Ile waży powietrze?

– Nie mam pojęcia. Zaniesiesz cukier do stołu? – zmieniłam temat.

– Zniosę – odparła Amelia i z przejęciem wzięła ode mnie cukiernicę. – Tatusiu, jestem głodna – oznajmiła i zerknęła tęsknym wzrokiem na moją lodówkę.

– Zrobię ci kanapkę – powiedziałam szybko i sięgnęłam do szafki po chleb.

– Nie żartuj, Amelio. Czy nie jadłaś nic u babci? – zapytał zakłopotany pan Juliusz, jednocześnie przepraszając mnie wzrokiem.

– Nie chciałam jeść u babci, bo ona miała tylko pasztetową. Tatusiu, czy pasztetowa to żona paszteta?

– Pasztetu – poprawił córkę i wzniosł oczy do nieba.

Na szczęście mała zajęła się swoją kanapką i przez chwilę mogliśmy swobodnie porozmawiać.

– Mogę mówić pani po imieniu? – zapytał i uniósł się lekko z fotela.

– Jasne. Jagoda. – Wyciągnęłam rękę, którą mocno uścisnął.

– Od dawna tutaj mieszkasz? – zainteresował się.

– Od jesieni.

– Ładnie się urządziłaś.

– To zasługa mojej mamy. Zna się na tym.

– Ech, powinienem odświeżyć mieszkanie mojej matki. Mam wyrzuty sumienia, bo nie było tam malowane od lat. Tylko że ja...

– Tatusiu, gdzie się wyrzuca sumienie? – wtrąciła Amelia, przelatykując ostatni kęs.

– Do niebieskiego worka – odparł, wywołując na twarzy dziecka wyraz zastanowienia. – Wydaje mi się, że kobiety mają więcej cierpliwości – dodał, spoglądając na mnie znacząco. – Choć może nie wszystkie.

Pokiwałam ze zrozumieniem głową, chociaż nie uważałam, że wykazałam się cierpliwością. Nie znałam się na dzieciach. Dopiliśmy herbatę i Juliusz zaczął zbierać się do wyjścia. Amelia była niepokieszona, ale skusił ją jakąś obietnicą wyszeptaną do ucha. Nie byłam przyzwyczajona do towarzystwa dzieci, tym bardziej tak wyjątkowych, jak ta dziewczynka ze swoimi przedziwnymi pytaniami, dlatego odetchnęłam z ulgą, gdy zamknęłam za nimi drzwi. Potem poszłam do pracowni i znowu usiadłam na skrzyni, wpatrując się w szkic portretu. Już wiedziałam, że ta niezwykła twarz będzie motywem mojej pracy konkursowej. Wzięłam ołówek i dorysowałam zrujnowane, płonące miasto jako tors, natomiast włosy zamieniłam w rozpaczliwie wyciągnięte do ruin ręce. Najtrudniej było narysować oczy. Mimo wielu prób, nie potrafiłam uchwycić tego szczególnego wyrazu. A poza tym – jak mogę zatytułować taki obraz? „Człowiek i wojna”? A może „Człowiek wojna”? Na obrazie wszystko wyglądało tak, jakby rozsądek chciał ratować to, co zrujnowało serce. Może więc powiązać temat z uczuciem? Ze zdruzgotaną miłością? Zakryłam szkic kawałkiem płótna i poszłam spać. Postanowiłam pomyśleć o tym jutro.

Obudziłam się z decyzją, że dziś odwiedzę dziadka. Być może wrócił już z Warszawy i może trzeba mu zrobić zakupy lub po prostu dotrzymać towarzystwa. Zanim jednak się ubrałam, weszłam do pracowni i spojrzałam na szkic. Wpatrując się w puste

jeszcze oczy, namacałam ręką ołówki i krótkimi, szybkimi ruchami dorysowałam to, czego im brakowało. Odeszłam parę kroków i przysiadłam na brzegu skrzyni.

– Tak – powiedziałam na głos. – To są twoje oczy, z których wyziera cała twoja wewnętrzna walka. Nazwę cię Dymitr. To imię pasuje do ciebie. Dymitr.

Do wieczora, nie zdejmując piżamy, parząc jedną kawę po drugiej, pracowałam nad Dymitrem. Obraz nabierał barw, a z nimi Dymitr zyskał duszę i stał się prawdziwy. Zanim skończyłam, już kochałam ten twór mojej wyobraźni, połączony z kimś rzeczywistym, dalekim, innym i nieokreślonym. Przez kolejne dni, straciwszy poczucie rzeczywistości, niewiele jedząc i śpiąc, dopieszczałam Dymitra, aż osiągnął stan doskonały, któremu każdy najmniejszy ruch pędzla mógł jedynie zaszkodzić. Potem odwróciłam go twarzą do ściany.

Agata zadzwoniła w piątek.

– Czy ja zaprosiłam cię już na ślub? – zapytała.

– Nie – odparłam.

– To dobrze, bo ślubu nie będzie.

– Dlaczego? – zdziwiłam się.

Poczułam jednocześnie zawód i zadowolenie. Agaty nie wiedziałam w roli żony, chociaż polubiłam Robaka i życzyłam mu jak najlepiej.

– Bo nie! – odparła ze złością, po której domyśliłam się jakiegoś kolejnego starcia charakterów.

– Chcesz o tym pogadać? – zapytałam ostrożnie.

– Nie ma o czym gadać. Poza tym dzwonię z lotniska. Lecę do Norymbergi.

– Masz tam wystawę?

– Nie ja. Taki jeden fotograf. Nie znam go osobiście, ale wiem, co robi. Jest niesamowicie inspirujący. A ty malujesz ten obraz na konkurs?

– Już skończyłam.

– Dobrze wyszedł?

– Nie wiem. Nie umiem ocenić, bo jestem z nim emocjonalnie związana.

– To najgorsze, co może być. Jak przyjadę, to mi pokażesz.

– Dobrze, powodzenia.

– Na razie, pa!

Odłożyłam telefon i pokręciłam z dezaprobatą głową. Cała Agata. Tydzień temu rozplywała się nad zaletami Robaka. Byłam pewna, że za tydzień będzie robić to samo.

Po południu wybrałam się do dziadka. Dzwoniłam, pukałam, ale drzwi pozostały zamknięte. Widocznie dziadek szerzej otworzył sakiewkę, a bratanek serce. Dzień był pogodny i jak na połowę lutego przystało, słońce już dłużej utrzymywało się na horyzoncie. Zatrzymałam samochód w bocznej uliczce i spacerkiem wybrałam się w stronę Rynku. Jak zwykle panował tam ruch i gwar. Turyści fotografowali się na tle pomnika Mickiewicza, wokół Rynku defilowała grupa przebierańców z transparentami, przystrojone konie przytupywały podkowami w oczekiwaniu na amatorów przejażdżki białym powozem. Pod budynkiem Sukienic ktoś grał na gitarze. Tuż obok opatulona w kozuch handlarka sprzedawała tradycyjne krakowskie obwarzanki. Kiedy chodziłam z mamą po Rynku, nigdy nie mijałyśmy obojętnie takich stoisk. Zateęskniłam za rodzicami. Wsunęłam rękę do kieszeni i poklepałam z namysłem telefon. Znowu milczał. Wiedziona nagłą pokusą, poprosiłam o jeden obwarzanek, posypany obficie sezamem.

- Są tylko z makiem – poinformowała mnie handlarka.
- Jak to? A ten? – postukałam palcem w szybkę.
- To nie obwarzanek, tylko precel – obruszyła się.
- To nie wszystko jedno? Wyglądają tak samo.
- Obwarzanki są okrągłe, a precle są splecione w ósemkę.
- No dobrze, to niech będzie ósemka, co za różnica.
- Różnica jest w smaku, kochana. Obwarzanek się obgotowuje przed pieczeniem, obwarza. I jest miękki. A precel twardy i kruchy. To jak? Precel czy obwarzanek?
- Niech będzie obwarzanek.
- To z makiem.

- Niech będzie z makiem – zgodziłam się i sięgnęłam po portfel. Chłopak obok przerwał grę na gitarze i wyciągnął rękę.

- Ja też poproszę.

Spojrzałam na niego przelotnie. Chuchnął w zaczerwienione od zimna ręce i uśmiechnął się do mnie. Nagle zamarłam.

Stał tam we własnej osobie, skośnooki, z włosami ściągniętymi gumką w śmieszny kitkę i spokojnie zanurzał zęby w obwarzanku z makiem. Jedyne jego spojrzenie było inne, pełne wesołych iskierek. Poza tym był to mój Dymitr. Z krwi i kości. Gapiłam się na niego długo, aż na jego twarzy uśmiech ustąpił miejsca niepokoju.

- Coś się stało? – zapytał. Z wrażenia przestał nawet przeżuwać.

- Przepraszam, zamyśliłam się – śmiechem starałam się zatuszować zakłopotanie.

Pokiwał głową i zajął się swoim obwarzankiem. Odwróciłam się i pewnie straciłabym okazję do nawiązania z nim bliższej znajomości, gdyby nie handlarka, która uśmiechnęła się do mnie i wskazała na Dymitra.

- Gdyby nie on, toby tu nie stała, tylko tam, na rogu, gdzie więcej można sprzedać. Ale stamtąd nie było słyhać, jak on ładnie śpiewa. Jak pani poczeka, to sama pani usłyszy – dodała ciszej.

Dymitr zjadł, otrzepał ręce z maku i podniósł gitarę. Stałam obok, skubiąc obwarzanek, i cierpliwie czekałam. Zerknął na mnie i zagrał parę akordów. A po chwili z jego ust popłynęła pieśń tak przejmująca, że przez plecy przebiegły mi ciarki. Nie rozumiałam ani słowa, ale głos Dymitra przeniknął mój mózg i zagnieździł się głęboko w sercu. Chłopak miał przymknięte oczy i mogłabym przysiąc, że odpłynął wraz ze swoim śpiewaniem gdzieś bardzo, bardzo daleko. W tym czasie wokół nas zebrała się spora grupka przechodniów. Dopiero teraz

zauważyłam, że przed Dymitrem leży czapka, do której sypały się drobne pieniądze. Wyjęłam kilka monet i wrzuciłam do czapki.

– Dzięki – mruknął i poklepał gitarę jak starego kumpla. Potem przewiesił ją przez plecy i oddalił się bez słowa.

Byłam zawiedziona. Już chciałam odejść, gdy zobaczyłam pozostawioną przez niego czapkę. Odruchowo ją podniosłam.

– Dymitr! – zawołałam i ruszyłam w pościg, potrącając przechodniów. – Dymitr! – krzyczałam, zapominając, że on wcale się tak nie nazywa.

Dopałam go przy końcu Sukiennic i złapałam za ramię.

– Dymitr – dyszałam – zapomniałeś... czapki...

Spojrzał na mnie zaskoczony, wygarnął pieniądze, wsypał je do kieszeni kurtki, a czapkę wcisnął na głowę.

– Jak powiedziałaś? Dymitr?

– Tak.

– Nie nazywam się tak. To jakieś ruskie imię, nie?

– Nie wiem. Chyba tak.

– Dziękuję za czapkę. – Dotknął jej palcami, jakby sprawdził, czy jest na właściwym miejscu. Uśmiechnął się do mnie półgębkiem.

– Drobiazg – bąknęłam.

Przez chwilę staliśmy tak bez słowa. Chciałam kontynuować rozmowę, ale miałam kompletną pustkę w głowie.

– Idę w tamtą stronę – odezwał się w końcu i wskazał kierunek. – A ty?

– Ja też – ucieszyłam się, chociaż miałam zawrócić do samochodu.

– No to chodźmy.

Ruszył szybkim krokiem. Musiałam podbiegać co parę kroków, żeby mu dorównać.

– Śpieszysz się gdzieś? – zapytałam w końcu.

– Nie.

– To zwolnij. Nie mogę nadążyć.

– Zmarzłem. Próbuję się rozgrzać.

– Zaczekaj – pociągnęłam go za rękaw. – Wstąpmy gdzieś na gorącą herbatę, chcesz?

Uśmiechnął się dziwnie.

– Chcesz iść ze mną na herbatę? Dlaczego?

Co za głupie pytanie. Nie wiem dlaczego. Może dlatego, że go namalowałam. Ale jak mam mu o tym powiedzieć?

– Rozgrzejesz się, chodź.

Zerknął na mnie z ukosa i wzruszył ramionami.

– Możemy iść – mruknął.

– Tutaj niedaleko jest miła kafejka. Wystarczy przejść przez bramę i kilka zakamarków.

Teraz ja szłam przodem, pozostawiając Dymitra nieco za sobą. Wtulona w oficynę kawiarnia sprawiała przyjemne wrażenie, a co najważniejsze, było w niej ciepło. Zdjęliśmy okrycia i usiedliśmy przy stoliku, o który Dymitr oparł gitarę. Zamówiłam nam herbatę z miodem i imbirem.

– Jak masz na imię? – zapytałam.

Wlałam miód do herbaty i w skupieniu mieszałam go łyżeczką.

– Przecież wiesz. Dymitr – odparł i uśmiechnął się z lekką ironią.

Przyznam, że trochę zbiło mnie to z tropu.

– No tak. Ale wczoraj... Jak nazywałeś się wczoraj?

Przez chwilę patrzył na mnie jakoś tak osobliwie.

– Kto wie? Może od teraz nie będzie dla mnie żadnego wczoraj? To zależy – zauważył tajemniczo.

Wyraźnie kluczył, żeby nie odpowiedzieć na moje proste pytanie. Przekomarzał się czy może miał coś do ukrycia? – zastanawiałam się.

– Od czego zależy? – przyjrzałam mu się badawczo.

– Od ciebie.